



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidt, kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ROK SKOŃCZONY.

Koniec roku—to chwila czasu, w której każdy z nas mimowoli poza siebie się ogląda i obrachunek czyni, jak go przeżył: co zyskał, co utracił? Niejeden czuje, że się zmęczył, że sił mu ubyło, że serce ręką silnie przyciskać musi, aby nadzieja nie uleciała mu ztamtąd, ale drugostronnie każdy zdobył sobie coś tego doświadczenia, które być powinno życia nauką, a ta niech mu powie, że nie ma na ziemi tak upośledzonego, tak nędznego istnienia ludzkiego, w którym by wola nasza nie zaważyła coś na szali losu. Bezimienny poeta stary, bo jeszcze z doby romantyków, wołał: — Co jest życie?... co użycie?... walka z życiem i o życie!... i tak jest niezaprzeczenie. O życie trzeba z życiem zapasy wieść i tę walkę o byt, którą nowoczesna nauka widzi w całej przyrodzie, stosować do tych jego dóbr i skarbów drogich, które zapewnić sobie, przy których utrzymać się pragniemy. Wola nasza jest siłą i nie zwodzi to przysłowie francuzkie, które twierdzi: że chcieć—to móżdżek!...

Ale trzeba chcieć prawdziwie, głęboko, niepołowicznie—trzeba uporu duchów silnych, zdolnych dla tego, co życiu prawdziwą wartość daje, iść, choćby przeciw życia warunkom takim, które pozornie cennem je czynią. Każdy, kto próżnym, kto pysznym nie jest, może ze smakiem z prostej misy jeść, może wygodnie i ciepło w szaraczku, a bogdajby w sukmanie z samodziła chodzić, ale każdy już musi mieć serce w piersiach ściśnięte, gdy go żal dławi, a każdy uczciwy, szlachetniejszy człowiek wie, jak ono boli i w piersiach pęka, gdy się z drogiemi życia ukochaniami rozstaje. I dlatego to wolę dobrą

i silną tak sobie wyrobić, aby dla rzeczy rzeczywiste, prawdziwie szacownych, dla rzeczy znaczenia wielkiego, umiała się podnieść nad drobne i pospolite—jak próchno w ciemności tylko świecące, to już jeżeli nie samo szczęście — szczęścia podstawę sobie zdobyć, przynajmniej tak nieszczęściu drogę zagrozić, aby zupełnem nie było, aby nie uderzyło w nas tym ciosem ostatnim, który wszystko już zabiera, wszystko druzgocze i ruiny tylko po sobie zostawia.

Chcieć, to móżdżek wiele—wiele bardzo! Naprzykład nie sprzeda ojcowizny swojej w latach klęsk i nieurodzaju — w czasach ciężkich, ten, kto jej przez życie nad możność pierwej nie obdłuży: nie dopuści, aby dach nad starym domem runął, jeżeli go w czas pobije, o ściany, mocnymi fundamentami podparte, w najsilniejszy wicher trwożyć się nie będzie. I tak we wszystkich życia położeniach: od utrzymania godności osobistej, od niebrudzenia sobie rąk przez dotykanie rzeczy, co to sprawiają—do pokierowania przyszłością dzieci, do niezerwania nici tradycyi rodzinnej, odstąpienia od rodzinnych relikwi.

„Ach! liczyć okropnie wszystkie od szczęścia do niedoli stopnie“... a przecież widzimy niemal codziennie, niemal co godzina ludzi, którzy takiego dantejskiego zstępowania w dół dokonywają dla tego głównie, że nie umieli silnie chcieć—dlatego, że w poprzek drogi, prowadzącej do ruiny, nie umieli postawić przed spotykającym ich nieszczęściem zapory tak silnej, rozumnej, przewidującej woli, przez którą nie byłby mógł dostać się do nich upadek. Wyłom, który mu najczęściej drogę do nas otwiera, to lekkomyślność, o jutrze nie pamiętająca, i próżność ta marna, która wobec konieczności, wykazującej się jak gdyby na dłoni, jeszcze woła:—Jakżeby to wyglądało?... Cóżby ludzie pomyśleli?...

Wyglądałoby to na rozum i cnotę, a wszyscy także rozumni i cnotliwi, pomyśleliby, żeśmy uczciwi i przezorni, że kochamy tak, jak się go-

dzi, a nie luźnym jakimś sentymentem, to, co pod utratą zbawienia dusznego ludziom najwyżej kochać należy. Pomyśleliby tak wszyscy, których sąd ma jedynie powagę w obec opinii—opinii nie koteryi, ale społeczeństwa. Powszechność nasza uczciłaby nas wtedy uznaniem, że jesteśmy ludźmi dobrej, silnej woli.

Wola dobra wynika, jak strumień ze swego źródła, z dobrych, znacznych uczuć, w sercu szczerze noszonych. Wola silna wytwarza się z kolei na podstawie owej woli dobrej, skoro tylko jest prawdą a nie hipokryzyą—różem i blaszem moralnym. Wytwarza się przecież przez hartowanie jej codzienne: ciągle, nieustannie w tych okolicznościach życia wszystkich które od małego do wielkiego się podnoszą, jak ta góra z ziarenek piasku usypana, która w błękity niebieskie się dźwiga. Mamy my przypowieść ludową o siłaczku, który wołu za rogi brał i bez trudu, jak coś małego podnosił, poczynając to przecież od chwili, gdy był on cielcem niedużym, i czyniąc to codziennie. Codziennie ciężar rósł, lecz codziennie rosły też i siły, przez naprężenie mięśni z zasobu organizmu wydobywane i tak postępować trzeba wszystkim, którzy chcą uczyć się w szkole życia zdobywania sobie potęgi, może najwyższej z posiadanych przez człowieka. Codziennie dźwignąć rzecz cięższą, czy lżejszą, która przed nami, jako obowiązek stoi—co dzień trud dnia tego pracowicie, sumiennie odrobić, a spotężniemy w sobie tak, że potrafimy dokonać rzeczy, które zdaleka wydają się olbrzymiemi i w tej to myśli powiedział Brodziński: — Czyż każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży.

— Pokój ludziom dobrej woli! wołali aniołowie niebiescy w noc cudowną, gdy Chrystus rodził się w szopce betleemskiej i jest to błogosławieństwo najwyższe, jakie zstąpić może na ducha ludzkiego, który przecież otrzymuje je tylko w warunkach przez słowa anielskie zastrzeżo-

ných. Woli dobrej... woli silnej!... tej woli, która się nigdy nie męczy, która o sobie nie wątpi, bo moc swą zna—tej woli życzymy sobie wzajemnie, jako dobra najwyższego w tej chwili, gdy rok stary się kończy, abysmy ją unieśli ze sobą w ten nowy, który się zaczyna i mieli przez nią uspokojone dusze, wzmocnione serca. Pokój ludziom dobrej woli.

Marya Ilnicka.

S Z W A B

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dokończenie).

Chłop nie widząc, aby koń chromał, potrząsał głową.

— A może-by stanąć i zobaczyć, co się mu stało, jasnie dziedzicu — odezwał się.

— Nie warto, dojedziemy przecież do Radliszcz?

— Czemu nie mielibyśmy dojechać! Jenó patrzeć, jak będziemy w Radliszczach.

Chłop medytował nad kaprysami pana, a pan medytował nad swoim usposobieniem.

— Dziwna rzecz, jak się człowiek lubi ludzi — myślał. Pragnąłbym, aby ta dziewczyna dorównała marzeniom moim.

Zawinał się szczerzej w płaszcz futrzany, zmrużył powieki i udawał przed sobą, że jest sennym. Łagodny uśmiech igrał na jego ustach.

— Ach, jacy ludzie dziecinni, kiedy pożądamy szczęścia! — szepnął.

W tem zaturkotał powóz na brukowym dziedzińcu i zatrzymał się po chwili przed pałacem państwa Złotnickich.

Poważny, zangielska wygolony lokaj, otworzył Mieczysławowi podwoje do salonu.

— Zamelduję jasnie pana natychmiast — wyrzekł skwapliwie.

— Jestem w Radliszczach widocznie pożądanym gościem—pomyślał sobie Mieczysław.

Nie czekał rzeczywiście długo. Zaledwie miał czas rozpatrzeć się po salonie, kiedy usłyszał za sobą szelest sukienki. Odwrócił się; przed nim stała panna Złotnicka.

Chciał wygłosić frazes powitalny, ale zwykły ogólnik uwiązał mu w gardle. I ona szukała snadź daremnie po głowie wyuczonych zwrotów, a nie znalazłszy ich, zarumieniała się. Nagle rozśmiała się pusto.

— Ach, jacy my zabawni! — zawołała.

— Prawda, jacy my zabawni — potwierdził Mieczysław. — Przyjechałem dowiedzieć się..

Urwał, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

Dziewczyna rozśmiała się powtórnie.

— Proszę, niech pan spocznie, przepraszam za moje roztrzępanie. Ale to już taka moja natura — wyrzekła — lubię wesołość i..

Zamilkła i ona. Usiedli naprzeciw siebie, na niskich fotelikach. On przypatrywał się meblom, ona liczyła oczami kwiaty, rozsiane po kobiercu.

Po chwili, jakby sobie coś przypomniała, podniosła szybko główkę i odezwała się:

— Przepraszam pana za rodziców. Tatko wrócił dopiero przed kwadranssem z Poznańskiego, gdzie załatwiał jakieś interesy majątkowe; przebiera się, ukaże się niebawem.

— Słyszałem, że pan Złotnicki odziedziczył wioskę w Księstwie — mówił Mieczysław.

— Był to posag mamy, ale Ostaszewice nie należą już do nas. Tatko sprzedał je jakiejś komisji, czy tam komuś, bo ja się na tem nie znam.

Mieczysław, który zapomniał w pierwszej chwili o właściwym celu odwiedzin, utkwiał teraz w twarzy dziewczyny wzrok przerażony.

— Może pruskiej komisji kolonizacyjnej, która kupuje dobra polskie? — zapytał stłumionym głosem.

— Tak, tak, komisji kolonizacyjnej! Tatko mówił, że zrobił dobry interes, że zapłacili mu bardzo dobrze. Ale co panu jest? Taki pan bład! O, Boże!

— Dobry interes! — mówił Mieczysław. — Ha, ha, ha...

Straszliwy był ten śmiech: wyrwał się z gardła odłamami, zimny, ochryply.

— Może pan zasłabł, może panu podać wody kolońskiej? Co się panu stało? o Boże!..

Panna Ksawera podniosła się i chciała dzwonić. Mieczysław powstrzymał jej rękę.

— Nie potrzeba, pani, nie fatyguj się. Na moje cierpienie niema w aptekach lekarstwa.

Dźwignął się z fotelu, jakgdyby go nagle jakiś wielki ciężar przywalił i sięgnął po czapkę.

— Do widzenia, pani, do... wi... dze... nia — mówił, i nie patrząc na dziewczynę, podał jej rękę.—Bądź szczęśliwą, panno Ksawero... stało się...

— Panie Mieczysławie, co panu jest?—szepnęła panna Złotnicka.

Po raz pierwszy nazwała go po imieniu, a głos jej był taki miękki, taki pieściwy. Dłoń, którą mu podała, drżała w jego prawicy, jak wylekła ptaszyna.

— Może pana obraziłam jakim słowem nieopatrznie, może dotknęłam cię pustym śmiechem, może... Powiedz, że tak nie jest, panie Mieczysławie...

W oczach jej błysnęły łzy. On spojrzał na nią i spostrzegł tych świadków jej wzruszenia.

— Serdecznie pani dziękuję za współczucie; pamięć łez twoich poniosę do grobu — mówił.

— Więc powiedz mi, panie Mieczysławie, dlaczego uciekasz od nas?

— Nie żądam pani tego odemnie.

— Proszę, błagam pana o to.. Ja coś przeczuwam, ale nie wiem...

— Jesteś córką, panno Ksawero.

— O, mów mi, mów... domyślam się... serce moje lęka się... chciałabym wszystko wiedzieć. Ze mną nie mówi nikt o sprawach szerszych. Ty jeden, panie Mieczysławie, odzywałeś się zawsze inaczej, niż oni, niż ci panice, którzy obsypują mnie ciągle samymi banalnościami. Brzydzę się nimi, gardzę nimi! Mów, naucz mnie... ta sprzedaż... ja przeczuwam...

— Czy pani wiadomo, że nam Prusacy zaprzysięgli zgubę, że postanowili gniazdo Popielów i Piastów zdeptać? — zapytał Mieczysław.

— Czytałam o tem w gazetach.

— Aby na prastarych naszych dzierżawach zatrzeć po nas wszelki ślad, postanowili wykupić ziemię z rąk polskich.

— Okrutni, o okrutni...

— Jakże więc pani nazwiesz Polaków, którzy naszym wrogom tę pracę ułatwiają?

— O, teraz pana rozumiem, teraz znam powód twej nagłej bladeści. Taki srom, taki srom!..

Rzęsiste łzy wytrysnęły z oczu dziewczyny. Zasłoniła twarz rączkami i lkała zcicha.

— Ale ja tych pieniędzy nie chcę — zawołała podnosząc głowę dumnie—ja nie chcę srebrników judaszowych. Tatko mówił, że uczynił to dla nas, dla córek swoich, abyśmy posiadały większe posagi. Niech sobie weźmie te talary, któreby mi nie przyniosły szczęścia... ja ich nie pożądam...

— Ty-byś to uczyniła, pani—szepnął Mieczysław — byłabyś zdolną do takiej ofiary?

Spojrzeli na siebie. On wyciągnął do niej obie ręce, ona złożyła w nich swoje bez wahania się.

— Ksawero! Czy to prawda?

— Mieczysławie!

Objęta mocnym ramieniem, spoczęła jej główka bez oporu na twardej, męskiej piersi.

— Dziecino moja, serdeczna, ukochana, nie obawiaj się życia... ufaj mi...

— Ufam ci, ukochany mój, ufam więcej, aniżeli sobie. Prowadź mnie, a dokąd każesz, pójdę.

Odgłos kroków, dochodzący z dalszych pokoi przerwał ten ślub dwojga serc, które się tak szybko porozumiały.

Mieczysław ochłonął pierwszy. Odsunawszy dziewczynę lekko od siebie, wyrzekł:

— W tej chwili nie mogę zobaczyć się z twoim ojcem, bo czuję, żebym nie potrafił nad sobą zapanować. Powiedz, że się śpieszyłem, że mam jakąś terminową wizytę, powiedz co chcesz i czekaj do jutra. Jeśli jutro będę w Radliszczach, poproszę o twoją rękę, a jeśli nie... ale będę... czekaj.

— Ty przedemną coś ukrywasz, Mieczysławie — zawołała Ksawera.

— Nic, nie, nie obawiaj się, nie wierzę, abym miał w takiej chwili... do widzenia... do jutra...

— Mieczysławie...

Ale on schwycił czapkę i wybiegł szybko przed pałac.

— Ruszaj do domu! — huknął na stangreta. — Śpiesz się!

Para szafirowych oczu śledziła zpoza szyb okiem jego ruchy. Szczęście w nich promieniało, a drobne usta szeptały:

— Mój ukochany, mój, mój...

VII.

Przed lasek górecki, należący do Plewisk, zajeżdżały w trzy dui po owem zajściu w hotelu miasteczka powiatowego prawie równocześnie, dwie pary sanek.

Czterech panów wysiadło z pierwszych, czterech z drugich. Odesławszy konie, oddali sobie w milczeniu wzajemny ukłon i podążyli na polankę, zakrytą ze wszystkich stron wysokimi sosnami.

Tu zatrzymali się. Jeden z panów odmierzył w towarzystwie drugiego na śniegu dwadzieścia dużych kroków. Na końcach tej przestrzeni zaknięto kije.

Wówczas wysunęło się z gromadki dwóch innych i stanęło na miejscach oznaczonych, naprzeciw sobie. Był to Mieczysław i ów barczysty Niemiec, który lżył narodowość polską.

Spojrzeli na siebie — Mieczysław obojętnie, Prusak ponuro zpod ściągniętych brwi.

Hrabia Komorowski wystąpił przed poważniejszych i wygłosił kilka zwykłych w takich razach ogólników, które miały spór załagodzić.

— Sądzę, że pan von Witzthum nie przybył na plac dla zabawki — odezwał się Mieczysław.

— Jestem gotów — wyrzekł Niemiec.

— W takim razie zechcą panowie uważać na komendę — wyrzekł hrabia Komorowski. — Po trzech już nie wolno strzelać.

Sekundanci podali walczącym broń nabitą. Każdy uściśnął swojemu klientowi rękę i cofnął się o kilkanaście kroków.

Zapańcicy uchylił kapeluszy, pozdrawiając się przed strzałem.

— Panowie, bacność! — zakomenderował jeden z Niemców, przybyłych z panem von Witzthum.

Dwa narzędzia mordercze podniosły się do góry.

— Ognia! Raz...

Lufy pistoletów obniżyły się w kierunku poziomym.

— Dwa!...

Błysło, huknęło.

— Trzy!...

Z prawicy pana von Witzthum wypadła broń, a on sam przechylił się w tył, potem naprzód, zachwiał się, jak podcięte drzewo i padł w objęcia swoich sekundantów.

Nadbiegł lekarz i zaczął ranę opatrywać.

— Czy ciężka? — zapytał Mieczysław, który zbliżył się do przeciwnika.

— Ciężka, ale nie śmiertelna — odparł lekarz — Kula utkwiała w boku; mam nadzieję, że ją wydobędę.

Ranny odwrócił pobladałą twarz do Mieczysława.

— Nie mam do pana żalu — odezwał się siabym głosem. — Jako żołnierz umiem cenić cudzą odwagę. Bądźmy przyjaciółmi, panie Ringhofen.

Skwapliwie pochwycił Mieczysław rękę przeciwnika; wyciągając zaś swoją, uczuł w niej ból dotkliwy.

— Zdaje się, że i pan dobrze mierzyłeś — rzekł, oglądając sobie ramię. — A jakże! dostałem strzał w ramię, ale kula przeszła tylko mięso. nie dotknąwszy kości. Trochę kłuje, nic więcej.

— Cokolwiek za nisko — mówił pan Witzthum głosem gasnącym.

— Dwa cale wyżej, a byłbym oberwał w sam łeb. Dobry strzał.

Mieczysław zdjął z pomocą pana Rogowskiego tużurek, a kiedy mu lekarz płynącą obficie krew zatamował i ramię obandażował, pożegnał się z panem von Witzthum i odjechał do Plewisk.

— Doskonale stał ten Prusak na mecie — odezwał się w drodze hrabia.

— Toć to officer. Bił się podobno tego w wojnie francuskiej — objaśniał pan Rogowski.

Krótko bawili sekundanci Mieczysława w Plewiskach. Pokrzepiwszy się śniadaniem, wrócili do siebie.

Zaledwo się sanki hrabiego i pana Rogowskiego wymknęły z dziedzińca, kazał Mieczysław zaprzędz.

— Pojedziesz do Radliszcz! — zawołał na stangreta.

Dokuczala mu rana, ale jeszcze więcej paliło go pragnienie njrzenia Ksawery. Wszakżeż się z nią wczoraj już pożegnał, gdy pisał testament. Gdzie dwaj dobrzy strzelcy do siebie mierzą, tam nic dziwnego, gdy jeden z nich zboczy ziemię krwią krzepnącą, z której uchodzi życie człowieka. Mieczysław przygotował się na śmierć, chociaż nie byłby jej dziś z radością powitał.

Ale los nie przeznaczył mu młodego zgonu. Kiedy go kula ominęła, podniósł oczy mimowoli w niebo, dziękując opatrności za ocalenie. Czuł teraz podwójnie rozkosz bytu. Było mu, jak gdyby się z ciężkiej podniósł niemocy.

Z ciekawością rozglądał się wokoło. Widoku pustych łąków, pokrytych śniegiem, nie byłby w tej chwili zamienił na czarodziejski raj pogrobowy, stworzony przez wyobraźnię Wschodu. Bo wśród tych pól osiadł biały pałacyk, a w nim znajdowała się żywa huryska, której serce biło dla niego, tylko dla niego.

Młodość i miłość przypinały mu skrzydła do ramion i obejmowały go pieszczotliwym uściskiem a on wracał z drugiego świata, z krain nicości, na których progę stał przez trzy dni. Pod ziemią tak ciemno i duszno, a na jej powierzchni tak jasno i przestronno...

Jasno i przestronno było w duszy Mieczysława. Nic go już nie dzieliło od szczęścia. Za kilka minut pochwyty rączką ukochane, a one nie będą się opierały. Spoczna w jego dłoniach z ufnością, bezbronnie, drżące.

Stangret uderzył z bata: zajeżdżał przed pałac radliński. Jeszcze konie nie miały czasu zatrzymać się, kiedy Mieczysław wyskoczył z sanek i przebiegł szybko kamienne wschody. W przed-sionku rzucił służącemu futro.

— Państwo w domu? — zapytał.

— Wstali właśnie od śniadania.

Lokaj otworzył podwoju salonu.

— Tak się o pana lękałam — odezwał się głos cichy.

Mieczysław stał obok Ksawery i tulił jej dłoń w swojej prawicy.

— Byłem rzeczywiście jedną nogą na tamtym świecie.

— O Boże...

— Ale wróciłem, aby zabrać drogą gołąbkę do własnego gniazdka.

— Opowiadano nam wczoraj o sporze pańskim z panem von Witzthum. Domyślałam się wszystkiego... całą noc nie zmrzyłam powieki.

— Biedactwo moje najukochańsze! Czemuże zasłużyłem na taką troskliwość?

Dziewczyna zarumieniła się, ale nie spuściła oczu.

— Obiecujesz mi, że nie będziesz się już narażał, obiecujesz... panie?... — szepnęła.

— Najdroższa moja...

Wtem weszli do salonu państwo Złotnicy. Mieczysław, nie puszczając rąk Ksawery, zwrócił się do jej rodziców i wyrzekł:

— Nie posiadając w tym kraju krewnych, muszę być sobie sam swatem. Kim jestem, co po-

siadam, że potrafię otoczyć żonę opieką, mniemam, iż państwo wiedzą. Oddajcie mi córkę, a szczęście jej będzie mojem szczęściem.

Pan Złotnicki spojrzął na żonę. Matka Ksawery skinęła nieznacznie głową.

— Ponieważ widzimy, że nasza córka rozporządziła już sama sercem, które wyłącznie do niej należy — odezwał się pan Złotnicki — przeto nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się na jej wybór. Niech wam Bóg błogosławi, moje dzieci!

— Jedno jeszcze chciałbym nadmienić — dodał Mieczysław — zanim będę miał prawo nazwać się przysłym zięciem państwa. Prosząc o rękę panny Ksawery, rzekam się równocześnie jej posagu.

— Ależ to być nie może — zawołał pan Złotnicki. — Cóżby na to ludzie powiedzieli?

— Nie mam nic przeciw temu, abyś pan summe przeznaczoną dla panny Ksawery rozdał na cele publiczne lub dobroczynne, codo mnie jednak powtarzam, że nie przyjmę ani grosza.

— Nie opieraj się tatku, — prosiła Ksawera — i ja sobie tego życzę.

— Wybaczcie, moje dzieci, że nazwę wasze żądanie po imieniu. To dziwactwo! Gdybym nie posiadał gotówki, możebym był rad zięciowi bezinteresownemu, ale teraz kiedy po sprzedaży...

Szybko przerwał Mieczysław dalsze słowa pana Złotnickiego,

— Stawiając ten warunek — wyrzekł — wypełniam wolę mojej nieboszczki matki, która sobie życzyła, abym pojął za żonę pannę bez wiana.

— Nie opieraj się, tatku — powtórzyła Ksawera.

Państwo Złotnicy spojrzeli na siebie, zdziwieni, bezradni.

— Niech-że więc tak będzie, skoro sobie tego oboje życzyte — odezwał się pan Złotnicki po namyśle. — Posagu Ksawerci nie rozdaję na cele publiczne, lecz złożę go w banku, aby był gotów, gdy moją romantyczną córunię życie nauczy trzeźwiejszych poglądów.

W miesiąc potem odbył się w kościele parafialnym ślub Mieczysława z Ksawerą. Między zaproszonymi gośćmi znajdował się stary Szulc i Zygmunt Jastrzębiec.

— Czy to prawda, że pan Ringhofen rzekł się posagu? — zapytał Jastrzębiec.

— Pan-byś tego nie uczynił — wyrzekł Szulc.

— Głupi szwab — mruknął Jastrzębiec.

K O N I E C.

Z pamiętnika nieszczęśliwej kobiety.

(Dokończenie).

Gdy przed rozejściem się na spoczynek trzeba było córce życzyć rodzicom dobrej nocy, Karolina zbladła tak, że ojciec niespokojnie patrząc na nią, wybuchnął życzeniem, aby księżę nabawiwszy się tu już dość, wrócił tam zkad przybywał, a ona nieszczęsna o mało nie zaszlochła płaczem głośnym. Słowa ojcowskie wydały jej się okrutną wróżbą przyszłości — czuła, że może tak być, że król wice może nabawiwszy się tu dość, odjechać, a ją zostawić... porzucić...

Ale dla niej już zapóźno było się cofać. Kochała tak, że nie miała sił do tego.

I ledwo też zmęczona zdrzemać się mogła na moment krótki. Wiedziała, że o czwartej rano Ernest zapuka do jej drzwi i gorączkowo podniecona o pierwszym brzasku dnia wstała się ubierać. Musiała zapalić świecę, i czesząc się płakała... Nie o takiej gotowalności ślubnej marzyła niegdyś.

O naznaczonej godzinie Ernest stawił się. Otworzyła mu szybko, bo słyszała już poprzednio ruch na dziedzińcu i jego głos, gdy budził ludzi i kazał siodłać konie.

Jechano kłusem, bo oboje podniecało wzruszenie. Po pół godzinie takiej drogi znaleziono się w lesie, na polance, wśród której znajdowała się

kaplica, a w pobliżu chata pustelnicza. Już nie było tam oddawna pustelnika, a gajowego z rodziną usunęto ztąd od wczoraj z rozkazu księcia, który jakoby miał jeść tu śniadanie. Teraz już on tu był, niecierpliwie oczekując. Stał pod drzewem przy drodze i poskoczył do narzeczonej którą jak dziecko w objęcia wzięwszy z konia zniósł. Lord Dutton i Parson stali na progę chaty, do której księżę zaprowadził Karolinę. Chciał, aby wzięła na siebie strój oblubienicy, chciał — aby ta chwila łącząca ich ze sobą na całe życie, nie była dla jej pamięci obrazem jakiegoś ukradkowego, smutnego pośpiechu. Wszystko już czekało przygotowane dla biednej panny młodej, a on poszedł za nią: ukląkł, poszukał jej oczu wzrokiem namiętnie rozkochanego człowieka i pocałował w milczeniu kraj jej długiej sukni, wyszedł, aby się też przebrać w drugie aljierzu.

Ubierała się szybko, drżącymi rękami a znalazła suknię z białego lyońskiego atlasu i szeroki złoty pas, zapinany na klamrę z brylantów. Gdy ubrawszy się wyszła w tym stroju, on, który już czekał na nią przebrany też odpowiednio, porwał ją gwałtownie w ramiona. Był tak wzruszony, że nie przemówił do niej, nie rzekł ani jednego słowa, a teraz zdawało się, że ją zaniesie do ołtarza na rękach, ale brat zatrzymał go nagle. Wszedł właśnie z wieńcem godowym dla oblubienicy, księżę chciał mu go odebrać, aby jej go włożyć na głowę, ale Ernest cofnął go przed nim. — Nie... rzekł — mnie, który zastępuję tu miejsce ojca, należy to uczynić. Oblubienica z wieńcem dziewczym na skroni powinna być oddana przez rodzinę oblubieńcowi.

Karolina ukląkla wtedy przed bratem, a on dokonał tego aktu, a potem podał jej ramię i poprowadził do kaplicy, gdzie na progę czekał lord Dutton. Jako świakowie, potrzebni dla ważności ślubu, był tu jeszcze kamerdyner księcia, Anglik Jackson i stary, zaufany sługa domu generała, Jerzy Wick. Król wice wymawiał słowa przysięgi bardzo głośno i wyraźnie, tak, że je słyhać było w całej kaplicy, ale nerwowo, drżał silnie. Od ołtarza już on sam ją odprowadził.

Ujął ją pod rękę mocno i wyprowadziwszy na przestrzeń otwartą, przystanął. Orszak zatrzymał się także, w tyle poza nimi, a wtedy on skinął ręką, aby postąpili naprzód i jakgdyby chciał w obliczu tych wszystkich ludzi umocować jeszcze zawarte małżeństwo, rzekł uroczyście i wyraźnie: — Związek nasz jest dożgonny. Choćby los miał zmrozić nam życie (kalt umschaten), jam jest twój — twój mąż wierny aż do śmierci, a ty na zawsze moja. Weź mnie sobie, należę do ciebie, cały w tobie żyję...

Trzeba było przecież śpieszyć się z powrotem, bo ciotka król wice, księżna Brunświcka, przybyła do niego w odwiedziny i na godzinę jedynastą z rana naznaczonem było przyjęcie u dworu. Karolina musiała się tam znajdować, miała być przedstawioną księżnie: ona, oraz kilka jeszcze pań, panien innych, i biedna zaraz w kilka godzin po ślubie zakosztowała gryzącej goryczy swego dwuznacznego położenia. Obaj król wice byli przytomni prezentacyi, znajdowali się obok ciotki w paradnych sukniach dworskich, w orderach zagranicznych i ona musiała złożyć im głęboki, niski ukłon, a ukochany nie mógł wyciągnąć do niej ręki, wołając, że jej miejsce jest przy jego boku.

Że Wilhelm Henryk nigdy dotąd nie mówił jej, jak zamierza przeprowadzić sprawę publicznego uznania jej za żonę, ogarnął ją teraz smutek ciężki, trwoga bolesna, jak długo trzeba jej będzie pozostawać w tem położeniu trudnem i bolesnem? Ale zwalczyła pierwsze wrażenie przykre przez moc miłości. Czyż nie otrzymała tego, co dotąd uważała za najpierwszą szczęścia swego podstawę — tego, że ukochany: związany z nią przysięgą ślubną, należał już do niej na zawsze — że nikt nie mógł już teraz rozdzielić ich ze sobą?

Tak przeszła jesień i zima, tak upłynęła wiosna. Przy pomocy brata młoda małżonka widywać mogła męża poza urzędowemi przyjęciami; były to chwile szczęścia niedługie i nieczęste,

ale upajały tak słodko, że nie żądała niczego więcej i żyła jak we śnie rozkosznym, jak w starożytności balladzie jakiejś. Stała się nawet z czasem weselszą, niż kiedy. Powtarzała sobie wciąż upajające wyrazy: — On jest mój, a ja jestem jego!... i uśmiechała do świata, do ludzi, piękniejąc jeszcze coraz, stając się coraz powabniejszą. Ojciec uspokoił się też powoli w grzającej go o nią trosce, bo król wicz zdawał się teraz chłodną i nie okazywał się już tak namiętnie, szalenie rozkochanym, więc generał przestał się lękać jakiegoś gwałtownego kroku z jego strony, o co poprzednio, można się było obawiać, co chwili. Ale też w miarę, jak sądzono, że obojętnie dla pięknej panny, inni zaczęli okazywać ukrywane dotąd uczucia, a nawet dwóch z pomiędzy wyższej szlachty hanowerskiej, hrabia Franciszek von Alten i baron Walter von Busche zaczęli się jawnie starać o rękę Karoliny. Ponieważ obie partye były dobre, rodzice przyjmowali bardzo grzecznie pożądanego konkurentów, choć więc ona starała się zawsze być tylko grzeczną, choć pilnowała tego uważnie przy każdym uśmiechu, przy każdym słowie i podaniu ręki, książę począł się czuć namiętnie zazdrosnym, co wprawiało go w posępnie smutny, a czasem aż dziki humor. Ledwo że zaczęło się lato, ogłosił niespodziewanie wyjazd swój do Pymont. Dwór przeniósł się za nim, a on zaledwie tam stanawszy, urządził spacer — przejażdżkę do lasu: do kaplicy pustelnika.

Rok już dobiegał, jak zostali sobie małżonkami, a jeszcze żadne z nich nie odwiedziło tego miejsca, teraz przecież król wicz zachciał tam się znaleźć, gdzie losy ich związały się ze sobą na zawsze. Ale zażądał, aby i Karolina należała do wyprawy; jechał z niemi lord Dutton, jechali również obaj zakochani kawalerowie. Książę naturalnie był na czele kalwakaty, mając obok siebie Karolinę smutną i pomieszaną — obawiającą się własnego wzruszenia na widok miejsc, gdzie wybiła najważniejsza: stanowcza godzina jej życia. Gdy zbliżano się już do kaplicy, książę zaciął naraz jej konia, a ukłówszy swojego ostrogą popędził gwałtownie, a za nim wszyscy. Przed kaplicą przecież zatrzymał się, zeskoczył z konia, porwał z niego niemal Karolinę, i zanim inni zdążyli uczynić to samo, szarpnął najpierw drzwiami kaplicy, a znalazłszy je zamknięte, pobiegł po klucz do chaty, i w jednej minucie otrzymawszy go, wrócił, pochwycił Karolinę za rękę i pociągając ją za sobą, wpadł do kaplicy prawie jak wariat. I tam, wśród najwyższego zadziwienia przytomnych, rzucił się na kolana przed ołtarzem, którego stopnie począł całować namiętnie.

Karolina, którą też zaciągnął tam za sobą, stała blada tak, jakgdyby mdleć miała. Przejęło ją wzruszenie tak silne, że zaledwie mogła się utrzymać na nogach, i lord Dutton pośpieszył jej z pomocą. Biorąc ją żywo za rękę, rzekł dość głośno, aby być słyszany, że niema czego się tak martwić, bo zguba znajdzie się niezawodnie.

— Chodź tylko pani zaraz... chodź — dodał i uprowadził ją z kościoła.

Kilka osób, a między nimi Alten wyszli także.

— Co to?... co się stało? — pytali, a Dutton opowiadał, że zgubiła bardzo kosztowną i pamiątkową w jej rodzinie spinę brylantową. Alten, a za nim i inni młodzi panowie ruszyli się szybko do koni, aby natychmiast jechać drogą przebytą i szukać zguby, lecz zaczęli zdążyć to uczynić, i król wicz ukazał się we drzwiach kaplicy. Już spokojniejszy, ale jeszcze blady i z oczyma rozognionymi, szedł do Karoliny, aby ją znów pochwycić i na kąt wsadzić, ale Dutton nie dopuścił do tego. Powiedział mu szybko i cicho, że kompromituje kochaną kobietę i wzięwszy na siebie obowiązek koniuszego Karoliny, podsadził ją na siodło i jechał obok niej, aby wysunąć się nagle przodem, gdy ujrzał, że Alten i Busche wracają z poszukiwaniem bez skutku.

— Znalazła się spinka! — zawołał — znalazła się, a raczej nie zginęła nigdy, bo p. Karolina przypomniała sobie, że jej zapewne nie wzięła.

Niby w dobrym humorze, łamał przepisy ety-

kiety wyprzedzając księcia. Karolina trzymała się jego boku, a obaj kawalerowie winszując, że uniknęła straty, towarzyszyli im, i tak powrócono do miasta. Gdy przecież dojechano do willi, którą dwór na czas kąpielowy zajmował i w której pawilonie mieszkał również generał wraz z rodziną, i Dutton bardzo śpiesznie zeskoczywszy z konia, chciał pomódz Karolinie zesiąść, król wicz nadbiegł żywo i gwałtownie porywając ze siodła ukochaną, zawołał prawie głośno:

— Niel dziś cię nie dotknie nieczyja ręka, prócz mojej...

Widok miejsc, gdzie ślubował Karolinie wierną miłość aż do śmierci i gdzie ona złożyła mu przysięgę podobną, rozegzaltował go tak, że stracił resztę panowania nad sobą. Tak namiętnie, tak silnie pochwycił Karolinę tak szalenie i jawnie już przycisnął ją sobie do piersi, że wszystek puder z jego długich, ówczesną modą noszonych loków, otrząsnął się na jej ciemno-zieloną amazonkę.

Prowadził ją pod rękę do ojcowskiego domu, a za nim szli wszyscy, teraz już powierzający sobie wzajemnie, że książę chce mieć do Karoliny jakieś wyjątkowe i wyłączne prawo. Rozmowy te i szept nie ustały i w domu generała, Szczególniej dwaj zakochani, byli mocno rozgniewani i zapomnieli, że rywalem ich jest syn królewski. Usunawszy się we framugę okna, rozmawiali o tyle żywo i głośno, że król wicz, który śledził ich okiem i uchem, zwrócił się nagle do lorda Dutton z żądaniem, aby w jego imieniu wyzwał hrabiego Alten na pojedynek.

Karolina czy coś dosłyszała, czy domyśliła się czegoś, bo podbiegła do księcia, błagając ze łzami, aby przez litość nad nią uspokoił się i cofnął wyzwanie. I Dutton wspomógł ją; skończyło się na tem, że król wicz rzucił hrabiemu spojrzenie wyniosło-gniewne, spotykając w zamian wzrok także dumny i nie chcący spuścić się przed nim.

Teraz już tajemnica nie mogła trwać dłużej. Król wicz pierwszy powiedział to Karolinie, że położenie jest niewytrzymałym i skończyć się musi. Wyprowadził ją na tę rozmowę do ustronnego gabinetu, gdy nagle drzwi, które zamknęły za sobą, otworzyły się. Generał to był, blady pod siwymi włosami; wracał z miasta do domu, w którym znalazł niespodziewane zebranie i dowiedział się pniekąd wszystkiego, co zaszło, a co mogła wzburzyć krew uczciwego człowieka i dobrego ojca.

— Al! — zawołał — poszukuję właśnie waszej Księżęcej Mości. Mój obowiązek rodzicielski nakazuje mi prosić Was, Księżę, abys od dziś dnia nie raczył już darzyć domu mego bytnością swoją. Córka moja widywać cię nie może...

— Zapóźno! jęknęła biedna. — Zapóźno zawołał król wicz gniewnie.

Karolina padła do nóg ojca, aby wyznać wszystko, a on załamała ręce. Całe życie przeżył uczciwie, a teraz padnie na niego plama, że złowił w sidła niedoświadczonego, opiece swojej powierzonego młodzieńca i pokątnie zaplątał go w sidła małżeństwa z córką swoją. Oburzyło się w nim wszystko na tę myśl, więc powiedział sobie, że nie dopuści takiej hańby na swoją siwą głowę, na nazwisko swoje czyste dotąd.

— Małżeństwo jest nieważne i rozwiązane być musi — zawołał — a książę krzyknął, że odpowiedzialność za skutki tego, spadną ciężko na jego głowę i wybiegł w uniesieniu najwyższego podniecenia. Karolina chciała biedz za nim, ale ojciec schwyił ją aż boleśnie za ramię i wtył odtrącił. Sam wybiegł przecież za księciem, ale ją zamknął w pokoju na klucz, który wziął do kieszeni.

W kilka minut dostał się do księcia, bo drzwi do niego stały dlań zawsze otworem i służba była przyzwyczajona nie tamować mu nigdy wstępu. Dostał się tam — dostał aż do sypialnego pokoju królewicza, położonego od ogrodu, gdzie go ujrzał bladego w podnieceniu namiętności i z pistoletem w ręku. Nabity zawsze, wisiał on nad jego łóżkiem i teraz też szalenie gwałtowny porwał go i do ust sobie podnosił.

Generał cisnął się, aby mu go wyrwać przy-
czem przecież strzał padł, raniąc ciężko jego samego w ramię. Krew pociekła dziurkiem z po-

za rękawa, a huk wystrzału sprowadził natychmiast służbę i nietylko służbę. Usłyszano go w całej willi, — usłyszano, że pochodził z pokoi księcia i wtargnął tu tłum — dwór cały. Generałowa w rozpaczy wykrzyknęła nierozważne słowo o morderstwie ojca, broniącego honoru córki, ale Dutton zaczął żywo rozprawiać o nieostrożności próbowania nowej broni w pokoju, i to stało się urzędową wersją wypadku. Król wicz wyjechał zaraz trzeciego dnia do Anglii, już nie widząc się wcale z Karoliną, do której przystęp został mu przez generała stanowczo zamknięty.

On chciał uzyskać łaskę rodziców dla nierozważnego związku — chciał ogłoszenia go publicznie. Przecież zwierzył się najpierw matce, a ta załamała ręce. Już najstarszy syn domu, wedle praw urodzenia następcą tronu, książę Walii, ciężko obraził naród nieodpowiedniem małżeństwem z wdową swego faworyta i pochlebcy, Fitzherberta, której poprzednio odebrał dobre imię. Książę Yorku był również nielubionym i jeden tylko książę Klarency miał w kraju mir, a nawet kochano go za otwartość i dobre serce, przytem jako dzielny, wytrwały żeglarz, pozyskał miłość floty i stał się ogólnie popularnym. Ze sarkano w Anglii na dzikość i złe obyczaje króla i jego synów — dworu całego, stronnictwo Stuartów podnosiło głowę, lękano się nawet wystąpienia stanowczego, a dynastya hanowerska miała do przeciwstawienia Pretendentowi jednego tylko Wilhelma Henryka.

Królowa poczuła się przecież do winy: mogła była zażegnać nieszczęście, a nieuczyniła tego: przystała w wyrachowaniu niemiłosiernem na to, aby syn palił swoje i niewinnej dziewczyny serce ogniem, który mieć chciała dla niego zabawką tymczasową, aż oto stawał się z tego pożar, mogący sprowadzić ruinę całego jej rodu. Cóż miała uczynić, aby tego niedopuszczyć? Że ludzie samolubni żądają zawsze, aby się poświęcano dla nich, choć oni nigdy tego nie czynią dla innych, postanowiła ratować syna kosztem córki innych rodziców: napisała do generała, aby Karolina zezwoliła szlachetnie na rozwód — aby przystała na niego dobrowolnie...

Ale lord Dutton, który pozostawał dotąd w Hanowerze, napisał do księcia z wiadomością, że Karolina ciężko chora, została przez rodziców wywiezioną do małej wioski Driburgu, gdzie jest coraz słabszą. Właśnie poprzednio już królowa odkryła mężowi prawdę; między ojcem i synem przyszło do gwałtownej sceny, przy której o mało klątwa rodzicielska nie spadła na głowę młodzieńca. Odpowiedział ojcu, że nigdy i dla żadnych względów nie opuści kobiety, która mu zaufała, nastąpiła groźba wypędzenia, odtrącenia go na zawsze, czego przecież bynajmniej się nie uląkł, a przeciwnie, podrażniony stawiał się hardo i lekceważąco przyjmował groźby, aby w parę dni potem bez widzenia się z ojcem, bez przeproszenia go, wyjechał. Nie tracił ani chwili; ani minuty jednej zwłoki nie dopuścił i z wyrazem nie ostygłej, nie zmniejszonej miłości padł wkrótce na kolana przy łóżku chorej.

Pamiętniki zostawiły świadectwo, że oboje zapomnieli przy tem ujrzaniu się o całym świecie. Ojciec przecież pokazał wtedy córce i to zaraz na drugi dzień po przybyciu królewicza, list królowej. Żał go brał nad biedną, ale musiał to spełnić i zapytać: co postanawia? To, co jest prawem..... odparła i nie nie zmieniała w swoim postępowaniu z król wiczem. Teraz uznana już jego małżonką, spokojnie i jawnie okazywała mu miłość najtkliwszą, a szczęście uleczyło ją. Rumieńce zabarwiły znów lice jej piękne, zakwitła zdrowiem, gdy padł grom cięższy, niż poprzedni. Królowa prosiła, król rozkazywał i Lord Dutton, który był namiestnikiem królewskim w Hanowerze, otrzymał polecenie, aby król wiczowi został zakomunikowany rozkaz natychmiastowego wyjazdu i powrotu do Anglii, do Londynu. Duttonowi było nakazaniem, aby księcia z eskortą wojskową odprowadził w przeciagu doby do okrętu, który go czekał na morzu, u ujścia tam Elby (Łaby).

Wilhelm Henryk stawił się zrazu nieposłusznym, unosił się na Duttona, ale wkrótce uznał

konieczność uległości. Karolina głównie to sprawiła—wymogła to na nim. Zostawali ze sobą jeszcze godzin dwanaście. Gdy się mieli rozstawać porankiem, była chwila, że zdawała się umierać. Tak ją zastali: ojciec i Dutton gdy godzina odjazdu uderzyła, a oni weszli do pokoju, gdzie się odbył okrutny akt pożegnania. Książę prawie martwą trzymał w objęciach: oczy były zamknięte i tak ją złożył, białą, jak z marmuru, na wązłowie sofy i szedł ku wzywającemu go, ale nagle raz jeszcze się zawrócił, porwał w pół, przycisnął do piersi tak silnie, tak namiętnie, że gwiazda orderowa, którą miał przy mundurze admirałskim skaleczyła jej czoło aż do krwi.

Takie było ich rozstanie się ze sobą. Jego miłość zostawiła jej ranę krwawą.

Pierwszym wyrazem, który potem wyrzekły jej usta blade, było:—Skończyło się... skończyło...

I skończyło się też rzeczywiście. Leżała cały dzień biała, jak płótno, nieporuszona, niczego nieżądająca i tylko kilkakrotnie ugasiła pragnienie. Nazajutrz rano poprosiła do siebie ojca, który zrozumiał, iż postanowiła to „co było prawem.“ Zdaje się, że zamiar, jak należy jej postąpić, powzięła zaraz po odczytaniu listu królowej i tylko jeszcze dopić chciała tej trocha słodyczy, która się znajdowała w czarze jej życia. Teraz zaś oświadczyła ojcu stanowczo, że przystaje na rozwód i napisała zaraz własnoręczny list do królowej, że zrzeka się wszelkich praw, jakie małżeństwo, zawarte prawnie i formalnie dawało jej do osoby księcia. Drugi był do Wilhelma Henryka, a i jego zwalniała całkowicie z przysięgi, wiążącej go do niej. Ona nie rozwiązuje się przecież ze swojej: z miłości mającej trwać aż do zgonu. On ma obowiązki inne i powinien to uczynić.

Z odpowiedzią przysłał jej Wilhelm Henryk lorda Duttona. Był świadkiem ich ślubu i on czynił go teraz rzecznikiem swoim wobec niej. Ale i ten nie zdołał wpłynąć na jej postanowienie. — Milordzie — rzekła — nie utrudniaj mi zadania, któremu i tak za ledwie podolać mogę.

Listy królewicza do niej zostawały mu zwracane z nienaruszoną kopertą, a przed sądy londyńskie wniesiono proces rozwodowy, jakoby w jej imieniu. Królewicz nie stawiał się przeciw ani razu na wezwanie, nie dał pełnomocnictwa żadnemu obrońcy i dał w oczach wręczającego każdy papier, przysyłany mu w tej sprawie. Matka daremnie błagała, aby się ugiął pod wolę ojca, którą okazywał wobec tej sprawy gwałtowność niesłychaną. Były to pierwsze fury waryata, czego przecież nie domyślano się jeszcze, a czemu syn przeciwstawiał upór kamienny. Wyroku sądowego, który go czynił rozwiedzionym, nie przyjął; wobec woźnych korony poszarpał nieczytany i rzucił w ogień, palący się na kominie. Na złość ojcu rzucił się w życie lichego używania, a kiedy też umarł, jako Wilhelm IV, napisano o nim, że najlepiej w Anglii pił i jadł.

Ona, stokroć nieszczęśliwsza, niż gdyby była wdową, musiała jeszcze walczyć, jakoby z łaską królowej, chcącej uparcie wydać ją za męża, na co ona odpowiadała zawsze dumnie:—Nie! Podejrzowała, że królowa pragnie jej zamężcia, aby to zmniejszyło w sercu syna gorycz doznawanego żalu, ale poświęcić się w ten sposób już nie chciała: było dość tego, co zniosła.

Mówiono, że lord Dutton, który miłość dla niej nosił w sercu oddawna, a był teraz namiestnikiem Hanoweru, wyznał jej uczucia swoje, ale nie przyjął ich, mówiąc, że niema już sił kochać raz drugi. I rzeczywiście stawała się codzień słabszą i wątlerszą, wpadała w sen lunatyczny, chodziła po nocy z otwartymi oczyma aż naraz zesłabła tak, że przyszła śmierć. Ubrano ją już jak do mogiły, złożono w trumnę i umieszczono na katafalku, rodzice i rodzeństwo lało łzy po niej, lecz naraz jeden z doktorów, człowiek młody, Meinecke, o którym mówiono, że się w niej podczas kuracji rozkochał, zawołał, że żyje i nie dał jej pogrzebać. Inni lekarze zarzucali mu, że jest szalonym, on niemniej trwał przy swoim: pilnował dniem i nocą martwego, jak sądzono, ciała, broniąc go uparcie przed po-

grzebaniem dwa tygodnie, aż jednego razu zawołał z tryumfem: Żyje!..

Żyła i po pewnym czasie poszła za swego zbawcę. Nim to nastąpiło Wilhelm Henryk mimo skandalicznego życia, które wiódł, uczuł namiętną zazdrość. Pisał, błagał, zaklinał ją przez brata Ernesta, z którym zachował ścisły stosunek, aby tego nie czyniła. Groził, że ją porwie od ołtarza.—„O kobietol kobietol wiecznie ja jestem twoim!“—pisał w liście pełnym rozpacz, gniewu, żalu; ale ona już zapragnęła choć trochę szczęścia—czyjejś opieki i miłości, w zamian której dawała wdzięczność i przyjaźń. Ten jeden—jeden raz odpisała księciu: list był tkliwy, drżało w nim uczucie, które nigdy nie wygasło, ale ostatecznie spełniła swoją wolę i poszła za tego, który ją wyrwał z ciemności grobu.

A człowiek to był niebogaty, praktyka jego była bardzo ograniczoną i Karolina zaślubiając go, wychodziła ze swojej dawnej sfery—wstępowała w ten tłum, dołem zbity, ludzi ubogich, gdzie z każdym groszem liczyć się trzeba, aby go nie zabrakło na zaspokojenie potrzeb koniecznych. Chcąc pozyskać dochód stały, Meinecke przyjął urząd chemika w kopalniach księcia de Salm na Morawach, z pensją 750 zł. reńskich rocznie.

Mieli dwoje dzieci: starszy chłopiec był szczególnym trafem silnie podobny do księcia, zauważył to brat Karoliny Ernest, który służył w wojsku angielskim i Wilhelm Henryk, zawiadomiony o tem przez niego, napisał do Karoliny list gorący, prosząc, aby przysłała mu to dziecko, które wychowa najtroskliwiej i zapewni mu przyszłość. Ale ona podziękowała, odkładając rzecz, aż do chwili, gdy chłopiec podrośnie.

Lecz nie podrośł nigdy: śmierć go zabrała i serce matki zostało rozdarte do głębi. Córkę wydała za górnika nazwiskiem Teubner, człowieka wyższego umysłu, jak o tem świadczy korespondencya, którą z nim prowadziła.

W życiu jej cichem i skromnem, bo prawie ubogiem, był przecież jeszcze jeden wstrząsający epizod; już wdowa, po siedemnastu latach rozstania się z drogim jej zawsze człowiekiem, odebrała nagle list od niego.—„Małżonko mojej młodości... zaliż jesteście rozdzieleni na zawsze?“—pisał on, a było to w czasie, gdy książę Walii sprawował jako regent rządu w miejsce obłąkanego ojca, kraj zaś widząc w przyszłości następcą tronu Wilhelma Henryka, zaczął nalegać, aby się żenił. Ona odłożyła szybko na stronę papier, z którego odzywał się do niej ten głos kuszący, a który aż do jej śmierci pozostał nieznanym nikomu, przez nikogo nie czytany. W jednej z nim kopercie znaleziono wiersz, napisany przez nią a w którym wołała:—„Znowuż przyzwysz mnie do siebie dolo ty moja czarna!“

Umarła w 1815 r. mając lat 45. Wilhelm Henryk ożenił się dopiero w lat trzy po jej zgonie, w 1818 r., z Adelajdą księżniczką Sachsen Meiningen, a w 1836 roku wstąpił na tron pod nazwiskiem Wilhelma IV.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Grudnia 1888 r.

Zaduszki. — Polityka. — Rada miejska i szczątki śmiertelne Baudina. — Panteon i zdjęcie krzyża. — Demonstracja 2-go Grudnia. — Znowu walka stronnictw w parlamencie i w kraju. Oskarżenie p. Gilly; *ridiculus mus*. — Wilson w Izbie. — Hasło i rewizya. — Sprawa Chambige'a w Algeryi. — Wrażenia. — Literatura i obyczaje. — Sprawa Stanisława Prado. — Śmierć Gondineta. — Występ Patti w Wielkiej Operze.

(Dokończenie.)

Dramat, który się rozwinął przed trybunałem Konstantyny w Algeryi, był bez zaprzeczenia przerażającym swą anti etyczną grozą. Położenie towarzyskie oskarżonego Henryka Chambige i jego ofiary Magdaleny Grille, żony głównego inżyniera kolei żelaznych Wschodnio-Algierskich, okoliczności nagłe i tajemnicze porwania

tej pani w biały dzień zpośród rojowiska ludności miejskiej, fakt otrucia jej, czy zabypnotyzowania, poprzedzający gwałt i zamordowanie—wszystko to tłómaczy i usprawiedliwia namiętny wybuch oburzenia w publiczności śledzącej przebieg sprawy. Oburzenie to rosło coraz bardziej z każdym nowym dniem rozpraw sądowych.

Dnia 25 Stycznia r. b. około godziny 5-jej z południa, cztery wystrzały rozległy się wewnątrz willi Sidi Mabruk, położonej o pół godziny drogi od miasta Konstantyny, w ślicznym rozkosznym położeniu, a będącej mieszkaniem rodziny protestanckiej Chambige'ów, osiadłych tam od lat trzydziestu.

Natychmiast wysadzono drzwi—zobaczmy niżej kto byli owi śpieszący z tak rychłą pomocą—i znaleziono w sypialni pierwszego piętra leżącego na kanapie, w nieładzie ubrania, z zakrwawionymi ustami, i trzymającego jeszcze w ręku rewolwer, Henryka Chambige'a. Obok niego stała butelka z rumem. Lewy policzek był przestrzelony dwiema kulami. Widocznie było to chybione wypadkiem, czy umyślnie, samobójstwo.

Naprzeciw rannego na łóżku, z rozpuszczonymi włosami, z wiązanką fiołków, z różami obok niej, leżała kobieta, z tak spokojną i pogodną twarzą, jakgdyby była uspioną. Niestety, krew się sączyła po prześcieradle, prawa skroń jej była zgruchotaną dwiema kulami. Śmierć musiała być nagłą, zresztą najmniejszego śladu walki lub oporu—żadnego nieład w sypialni. Obok Chambige'a kawałek papieru z żalobną obwódką, a na nim następny napis: „Upraszam moją rodzinę, aby zostawiła jaką piękną pamiątkę mojemu przyjacielowi Pawłowi Rieu.“

„Przebac, przebac, matko moja! ucałuj dżawę. (podpisano) *Henryk*.“

Wiemy już kto była kobieta umarła, wiemy kto był jej zabójca Chambige; a jeśli dodamy, że młoda kobieta była nieposzlakowanej zacności małżonką, matką przykładną dwojga małych dzieci, religijną w duszy i w praktykach zewnętrznych—była protestantką—że jednym słowem: znali ją wszyscy jako nieposzlakowanych, sarowych obyczajów niewiastę—łatwo zrozumieć my zdziwienie powszechne.

Chambige wkrótce przy pomocy lekarskiej odzyskał przytomność; lecz kiedy chciano przenieść go do sąsiedniego pokoju, usiłował zerwać opatrzenie rany i zwracając oczy ku stronie, gdzie leżała p. Grille: „Magdaleno—zawołał—Magdaleno! zostawcie mnie przy niej! To ja ją zabiłem! kochaliśmy się. Nie mogliśmy uciec razem, ona to wymogła na mnie, abym ją zabił, ona własną ręką prowadziła broń do skroni! Chcieliśmy umrzeć w pocałunku miłości!“

Prosił potem przytomnych, aby go dobito. „Nie chcę i nie mogę żyć“—wołał. Tak było, ale teraz wyleczony zupełnie, z lekkiej zresztą rany, Chambige stawiał się przed sądem zdrów i cały i bez wstrętu do życia.

Wiemy już kto była p. Grille. Ścisła i dawna przyjaźń łączyła ją z rodziną Chambige'ów, a szczególnie z siostrą Henryka, zmarłą wkrótce po zamążpójściu. Ztąd więc stosunek z młodym studentem,—bo Henryk był studentem uniwersytetu paryżkiego—uczeń mierny, natura leniwa, niby marzycielska. Zamiast ścisłej nauki, czepiał się dziwnych spekulacyjnych mrzonek, pisał blahe i blade romanse, ale już silniejszym odznaczające się kolorytem, prowadził z dziewczętami usługującymi w piwiarniach i kawiarniach. Według zeznania jednej z nich zaplakał się całymi dniami, nad fatalnym upadkiem kobiety.

Takim przedstawia się nam Chambige w przeszłości i takim znajdujemy go przed sądem i w całej tej sprawie, która pomimo wszystko, zostanie tajemniczą i nierozwiązaną w swych głównych szczegółach.

Chambige z powodu rodzinnych interesów często przyjeżdżał do Algeryi. Stosunki z rodziną Grillów były dobre, ale bez żadnej szczególnej charakterystycznej oznaki, jakichś stosunków podejrzaney natury. W czasie swej przedostatniej podróży był on częściej, niż zwykle, u państwa Grillów i nudził wszystkich swoją, jak mówiono, bawelnianą gawędą i filozoficznymi

dociekaniem. Po tej podróży niektórzy z kolegów paryzkich, dowiedzieli się od tego marzyciela, że kocha zameżną kobietę.

Podróż styczniowa, ostatnia spowodowała, według zeznania oskarżonego, wyraźne żądanie pani Grille; ale wszystko temu zaprzecza. Niema jednakże dowodów, aby pani Grille, jadąc z Chambigiem najętym powozem do willi Lidi-Mabruk, ulegała jakiegokolwiek przemocy, i nie czyniła tego z własnej woli. W tem też tkwi cała trudność rozplątania zagmatwanej sprawy.

Jak i dlaczego kobieta, która kilkanaście minut przed tą wycieczką, bawiła się, jak najswobodniej ze swymi dziećmi, została na stole zaczęty list do jednej ze swych przyjaciółek, list dowodzący niesłychanego spokoju umysłu, mogła się puścić na tak występny według Chambige'a wyprawę? Chybaby przypuścić nagłe obłąkanie...

Sledztwo, zeznania świadków, poszukiwania, wyjaśniły jedno tylko, że Chambige był zabójcą... i że jego niby samobójstwo było tylko wiertną i nikczemną komedią! Reszta jest i pozostanie pograżona w głębokiej i nazawsze już może zamkniętej tajemnicy.

Przecież, pomimo to wszystko, opinia publiczna i miejscowa, i w całej Francji, sąd przysięgłych trybunał — wszyscy uznali nieszczęsną ofiarę tej tragedii za nieposzlakowaną czystości niewiastę za życia, a Chambige'a za nędznego mordercę. Sąd skazał przestępcę na siedm lat ciężkich robót.

Takie jest rozwiązanie tego strasznego dramatu, rozwiązanie, od którego tchórzliwy student apellować nie śmiał. Żałuję, że nie mogłem wejść w inne szczegóły tej sprawy, że nie mogłem, chociaż w skróceniu dać wam zeznania, pełnego godności najwyższej, p. Grille, męża nieszczęśliwej ofiary i aktu oskarżenia prokuratora generalnego, który był prawdziwym wzorem krasomówstwa sądowego. Smutny ten proces jest nowym dowodem raka nurtującego społeczeństwa. Jest nim złe wychowanie nowych pokoleń, jest to zwalenie wszelkich zasad wiary i etyki — i ostatecznie rozbustwienie się społeczeństwa.

Druga sprawa kryminalna, która się toczyła przed sądem przysięgłych trybunału paryzkiego, dotyczy tak zwanego Prado — mordercy słynnej Maryi Agretan. Dając mu nazwisko Prado, idę za przykładem samej nawet prokuratury, chociaż prawdziwe nazwisko tego łotrzyka i dotąd jest tajemnicą jeszcze; sam on przecież dawał sobie zmyśloną zapewne i coś pod słowiańskie podszycujące się miano: Linska de Castillon. Ale mniejsza o to, jak się on nazywa; pochodzenie jego, bez zaprzeczenia z niższych pokładów nowej społeczności, nie obudza więcej zajęcia, niż jego osobistość, a wydatność jego procesu pochodzi głównie z tego położenia, w jakim on występuje przed sądem przysięgłych pomiędzy dwiema młodemi kobietami, wczoraj jeszcze współniczkami jego, dziś jego oskarżycielkami. Obie, zakochane w nim niegdyś, obie go karmiły, odziewały, pieściły — obie cierpiały z zazdrości, a dziś występują w roli wspólnych oskarżycielek i narzędzi zemsty.

Zabójstwo to, o które oskarżony jest Prado, przybierając imię „Stanisław“, miało miejsce cztery lata temu; w części miasta najbogatszej i najludniejszej o kilka kroków od Wielkiej Opery — w mieszkaniu pomienionej Agretan; jak mówiłem — nieszczęsną ofiarą zamordowaną została jednym cięciem; kradzież brylantów i pieniędzy była powodem zbrodni.

Prado jest małego wzrostu i szczupły, odziany w czarny tużurek, ma minę komissanta z kantoru bankierskiego. Głowa podłużna, krótkie i płasko przyczesane włosy, czarne wąsiki, spadające z obu stron ust ściśniętych, czynią wrażenie osobistości spokojnej i cichej, ale w chwilach żywszego wzruszenia, oko się zapala i twarz nabiera dzikiej energii.

Prado badany przez sędziego odpowiada, albo w napuszonych frazesach, albo z udaną dobroduszością; wogólności ma minę człowieka, który jest świadkiem jakiejś sprawy, obchodzącej go mało. Co należy zaznaczyć, to właśnie postawę, jaką przybiera i zachowuje przed sądem, ten morderca specjalnej kategorii — bo sprawca

często dziś powtarzającej się tu zbrodni: zabójstwa dokonanego na wykołejonych kobietach.

Dawniej zbójce tego rodzaju przedstawiali się nam w postaci zdziżalej i jakby zwierzęcej natury: nieokrzesej, ciemnej — i naoslep idącej za uderzeniem krwi, budzącej w nich strasliwe instynkta tygrysa lub wilka. Dziś się to zmienia — i tacy Prancini, Prado i spółka, są to prawie już jakby modele wykształconej i ogładzonej formy; są to, niestety! te jadowite grzyby, zachwycające blaskiem barwy i kształtu, a wyrosłe na zgniliznie, która toczy ostatnie nasze społeczne pokłady.

Chciałem tu, przypominając tę sprawę, zwrócić waszą uwagę; jakiej to są natury i rodzaju te straszne zjawiska nowożytnej społeczności. Weźmy naprzykład tego Prado. Zbrodnia popełniona osacza go i trzyma w swych sponach; patrzmy: jak się broni obwiniony. Czy tu jest ślad prostego mordercy. Oto człowiek z powierchowności wygląda jak każdy z nas, a nawet i lepiej od wielu; broni się sam nie bez wymowy i nie bez talentu — często lepiej nawet przemawia od swego adwokata! Słuchajcie:

„Nie jestem ja ani Cycero, ani Demostenes. Lecz nie mógłbym, panie prezesie, znaleźć lepszego nad samego siebie obrońcy swej sprawy...“ Nie zaniedbuje też żadnego środka obrony, nie pomija żadnej okoliczności, która może wpłynąć na umysł przysięgłych — żadnej, nie wyłączając gestu, spojrzenia i lezli. Wymowny, wyraża się czystą bardzo francuzczyzną, co wyklucza wszelkie pochodzenie hiszpańskie lub amerykańskie, które mu chciano przyswoić — słowem: jest to wprawny i biegły adwokat i ma słuszość, gdy mówi, że lepszego obrońcy nad siebie samego, nie mógłby znaleźć.

Pomimo to wszystko przecież — pomimo, że sprawa była niezmiernie zakłamaną, że dotykanych dowodów zbrodni nie było prawie — pomimo tych danych ujemnych — wszystko w całym przebiegu procesu tak wyraźnie, tak jasno przemawiało za tem, że Prado był zabójcą owej kobiety. Awanturnicze jego życie, ostatnia kradzież, zbrojną ręką popełniona, na której został schwytany, sztuczne udawanie niewinności podczas obrony — były również okolicznościami utrwalającymi przysięgłych w przeświadczeniu, że nikt inny, jeno Prado winnym jest zbrodni zabójstwa. Werdykt zapadł jednomyślnie. Sąd skazał zbrodniarza na śmierć. Prado czeka dziś skasowania albo wyroku, albo — samego siebie w razie odrzucenia kassacyi ¹⁾.

Opinia publiczna była głęboko poruszona widokiem takiej zbrodni i takich zdolności zbrodniarza. Nowa to forma występku i upadku.

W społeczeństwie, gdzie takie sprawki są niemal zwyczajną, codzienną rzeczą, — człowiek myślący, obdarzony wzrokiem postrzegawczym obszerne ma pole przed sobą. Jednym z takich był tylko zmarły Edmund Gondinet (umarł 19 Listopada). Pisarz dramatyczny, wielkiej płodności, zalecał się on szczególnie właśnie tą głęboką zdolnością postrzegania najsubtelniejszych fenomenów życia społecznego i łatwością, z jaką je umiał przenosić na pole stworzonej przez siebie akcji i wprowadzać w działanie z całą prawdą widzianej sytuacji.

Nie był to talent takich rozmiarów, jak np. Dumas albo Sardou: strona tragiczna życia, nie nęciła go wcale swoją posępną maską. Spokojna i łagodna filozofia popychała go raczej ku wesołej, zabawnej — często śmiesznej stronie zjawisk, trzymał się Gondinet starej prawdy: *Ridendo castigat mores*. Był on też ulubieńcem publiczności, która szukała go przeważnie w Teatrze Rozmaitości, w Veauville'u i Palais Royal. Jego imię na afiszu stanowiło przynętę, która zgromadzała zawsze licznych i dobrze usposobionych widzów.

Te trzy sceny, o których wspominałem, tracąc Gondineta, uczują dotkliwie brak autorów lubionych przez publiczność. Jakże hałaśliwie przykładowano objawom, często wybrykom, dowcipu Goudineta! Niedawna śmierć Labiche'a tem dotkliwszą czyni nową stratę, że zmarły świeżo

komedypisarz był niejako współnikiem chwały tamtego, z którym tak długo dzielił powodzenie i wziętość.

Z pośród komedii Gondineta, miały najwięcej rozgłosu, następne: *Gavant et Minard*, *Le plus heureux de trois*, *Johnathan*, *Un Voyage d'agrément*, *Le Parisien*.

Zmarły miał lat sześćdziesiąt. Jako człowiek, zalecał się wielką skromnością — tak rzadką tutaj i wszędzie — słodyczą charakteru i dobrocią serca. Nie cierpiał wizyt i lękał się wszelkiego przemawiania na zebraniach. Panowało w nim nade wszystko zamiłowanie namiętne teatru i pracowitość literacka. Ręka i serce były zawsze otwarte dla wszystkich, i kiedy go ostrzegano, że jest zbyt dobrym, uśmiechał się łagodnie i odpowiadał: „Pozwólcie zbliżyć się maluczkim...“

W chwili, kiedy to piszę, conajwięcej zajmuje *wielki świat* paryzki — po demonstracyi projektowanej na 2 przyszłego Grudnia — jest to nadzwyczajne wystąpienie Adeliny Patti w Wielkiej Operze paryzkiej. Po tylu latach nieobecności tej niezrównanej śpiewaczki, wystąpienie to, zdaje się jakby pierwszym ukazaniem się jej na tu-tejszej scenie. Na ten cel dyrekcya opery wskazała znaną już operę Gounod'a *Romeo et Juliette*, w której Patti tyle razy słyszano i widziano na wszystkich scenach świata.

Operę tę, graną tu już od lat tylu w Teatrze Lirycznym i w Operze Komicznej — przeniesiono umyślnie dla Patti na scenę Wielkiej Opery. Gounod objął dyrekcją orkiestry. Nasi Reszkowie obsadzili dwie główne role męzkie. Jak śpiewano! Co się działo na pierwszym przedstawieniu we Czwartek 29 b. m. — o tem wam powie-dzą ci, co tam byli! Wasz korespondent nie dotarł, bo tam, gdzie proste krzesło na parterze płaci się 250 fr. z górą — taki chudopacholek ani może pomyśleć, aby go wpuszczono.

Nie byłem więc, ale słyszałem, że Patti śpiewała pięknie, to was nie dziwi — wy coście ją słyszeli w syrenim grodzie; że Reszkowie odnieśli tryumf — i to nie dziwne. Ale posłuchajcie co tu rozpowiada o tem Francuz: nie był on w żadnym innym teatrze, prócz swego, przecież wyrokuje, „że żaden teatr na świecie nie zdoła urządzić podobnego przedstawienia tej opery; że Patti *weruszona i drżąca*, przyszła odebrać nakoniec tę najwyższą konsekracyą swojego talentu: oklaski paryzkiej publiczności i t. p. bajdy.

Patti ma śpiewać tylko trzy razy. Wszystkie miejsca, nawet za kulisami, opłacone są naprzód, na wagę złota. Ludzie staczają prawdziwe bitwy w biurze dyrekcji. Napływ niosących komplementa i bukiety do loży *divy* — był tak wielki, że musiano użyć interwencji policyi do przywrócenia porządku w tym tłumie *high-life'u* paryzkiego. a Janek Reszke, aby zmienić ubranie, musiał się ze swej loży wynosić! O najdowcipniejszy narodzie świata!

RUCH MUZYCZNY.

Zastanowiwszy się nad ubiegłym sezonem przedewszystkiem zauważymy, że popis wyłączny wirtuozów solistów nie wiele nam przymnożył chwil spędzonych w przybytkach sztuki. Wogóle były to koncerty albo kompozytorskie, albo też instytucji artystycznych, jako to: Towarzystwa Muzycznego, Lutni, Teatru, a wreszcie Konserwatorium. Przyznamy, że tego rodzaju koncerty więcej nam przypadają do smaku, albowiem interesują nas kierunkiem i rozwojem instytucji, które nam leżą na sercu, oraz objawami sił twórczych. Towarzystwo Muzyczne, ustaliwszy cokolwiek swe fundusze, robi co może, aby zająć słuchaczy nie tylko personelem występującym na estradzie, lecz i jakością wykonywanej muzyki. Trzeba przyznać, że starania te, dobrze oddziaływają na rozwój i stanowisko tak dawno walczącej z twardym swym losem instytucji i kto wie, czy ona nareszcie nie odpowie kiedyś zupełnie swemu zadaniu.

1) Kassacya odrzucona.

(Pzyp. Redak).

Młodsze o wiele Towarzystwo „Lutnia“ pod ciepłym technieniem sympatii ogółu, rozwija się szczęśliwie, jakby pieszczona dziecię. Liczba członków czynnych wzrosła do sześćdziesięciu, zwyczajnych zaś podobno liczy ośmset. Koncerty bywają przepelnione, zapal słuchaczy niezrównany, lutniści świetnie się przedstawiają, [słowem miło i jest na co spojrzeć; co się zaś dotyczy muzyki, jeśli wolno wypowiedzieć nasze szczere zdanie, to ona idzie na drugi plan; repertuar Lutni jest za jednostajny, za drobny, nie pedagogiczny, a wykonanie, może wskutek wzrostu liczby członków i za częstych występów, nie dość wystudowane. Słowem stanowisko artystyczne Lutni, przed rokiem i dziś, jest na tym samym miejscu; ni krokiem dalej. Przysłowie mówi, że „kogo się kocha, tego się i karci“, u dzieci niema ono uznania, to rzecz wiadoma, jednak czujemy ile w niem prawdy i serdecznej pieczołowitości, jeśli więc wypowiedzieliśmy te kilka słów niemiłych uwag, czynimy to w imię obowiązku i szczerzej życzliwości, do której od początku istnienia „Lutni“ zawsze jawnie się przyznajemy.

Dyrekcya Teatrów, dała dwa koncerty symfoniczne, ze współdziałaniem takich potęg, jak d'Albert i Barcewicz; przy tem usłyszeliśmy kilka nieznanych u nas dzieł: Żeleńskiego, Czajkowskiego, Liszta i Wagnera. Wykonanie ich było wzorowe, nie można rzecz inaczej, co do dzieł samych, nie wszystkie równie dodatnie wrażenie na nas zrobiły. Koncert skrzypcowy Czajkowskiego wydał nam się o tyle trudnym pod względem technicznym, oile estetycznie dzikim, zgrzytliwym, niewdzięcznym; jedynie tylko Canonetta obdarza pewnym chwilowym wyczynkiem; strudzonego słuchacza, który wskutek przedłużającego się bezmiernie oczekiwania wybitniejszej nuty melodyjnej, dającej zarys formie i koloryt kompozycji, znajduje się w końcu w niemożności zdania sobie sprawy, z tego, co słyszał. Natomiast, poemat symfoniczny „Prelude“ Liszta, rozbrzmiewa tak pełnemi harmoniami tonów, tyle wdzięku, uczucia i siły posiada, że wsłuchując się, mimowolnie jest się porwanym w dziwne jakieś nadziemskie krainy, i długo jeszcze po skończeniu dzieła, pozostaje się pod miłem a nieokreślonym wrażeniem błogości. Czujemy wówczas, że tego rodzaju dzieła sztuki spełniają swe zadanie, oddziałując na uczucia i charakter ludzki, podnosząc go i uszlachetniając.

Konserwatorium, wystąpiło z pierwszą seryą swych wieczorów kameralnej muzyki. Celem tych wieczorów jest popularyzowanie muzyki zbiorowej, jako to: kwartetów, kwintetów i t. p., których to dzieł, mało bardzo na innych koncertach możemy słyszeć. Konserwatorium, złożony z swego personelu professorskiego wzorowy kwartet smyczkowy, jest w stanie wystawić wiele pięknych dzieł, które inaczej możeby długo czekały na wykonanie.

Szkoda więc, że publiczność dość obojętnie przyjmuje uczciwe intencje Instytucji, która, nietylko już się stara wypełnić swe zadanie pedagogiczne wśród murów swej szkoły, lecz jeszcze pracuje dla sztuki i społeczeństwa poza granicami swych ścisłych obowiązków. Do tej pory były wykonane następujące dzieła: kwartet Mozarta, D dur, Sonata Griega N 3, kwartet N 15 i septet Beethowena, kwartet D moll Schuberta, kwartet fortepianowy Noskowskiego, kwartet F Dur Czajkowskiego, Trio Raffa i kwartet D moll Brahmsa. Widzimy więc, że wieczory kameralne piękną wiązaną dzieł wyborowych chciały ofiarować swoim słuchaczom, gdyby ci, niezawiedli. Miejmy nadzieję, że później będzie lepiej.

Podobno najwięcej zainteresowania obudziły dwa koncerty młodych kompozytorów swojskich: Jana Galla i Piotra Maszyńskiego. Pierwszy z nich, to trubadur średniowieczny, wędrowny piewca miłości, który za uśmiech, darzył improwizowaną piosenką, za słówko życzliwe,—miłością, a potem szedł dalej szukać nowych wrażeń. Urywkowe jego myśli, chwilowe zachwyty, malują się żywo w utworach o formie oryginalnej, nierozwiniętej, nieskończonej; lecz ileż w tych

piosenkach świeżości i uczucia; pragnęłyby się słuchać jeszcze, one jednak tak prędko się kończą, jakgdyby miały być obrazem zarówno niestałych i szybko przemijających uciech młodości. Jan Gall, to artysta, który już zaznaczył swą indywidualność, a gdzie ona jest, widocznie i zdolności się znajdują. Piotr Maszyński, zupełnie odrębny, inny typ stanowi; jest to jeszcze talent szukający swej drogi, a przyszłość jego zależna od trafnego jej wyboru, wtedy bowiem dopiero rozpocznie się prawdziwa twórczość z powołania duchowego. W koncercie swym dał nam słyszeć dzieła różnorodne: pieśni i kwartety wokalne, dzieła fortepianowe i Sonatę skrzypcową; w nich widnieje wiele oryginalności, dużo nauki, lecz nie we wszystkich znać panowanie nad sobą, świadomość zadania. Dotąd dzieła muzyki wokalnej najwięcej skończony i z pewną maestryą traktowany, przekonywa nas, że p. Maszyński na tem polu daleko zająć może, i że kiedyś może ze sceny opery twórczość jego do nas przemówi.

Kończąc tę kilka słów sprawozdania, winniśmy się jeszcze podzielić wiadomością doszłą nam z dalszych stron; oto podobno w miesiącu Stycznia ma zawitać do nas z koncertem również kompozytorskim, twórca „Konrada Wallenroda“ i „Balladyny“ Władysław Żeleński. Czyż potrzebujemy przypominać naszym melomanom, jak gościnnie winni go przyjąć?

Juljusz Stattler.

ZE SPUŚCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira“ Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

Zdolność kochania — według poety — nie zamiera nigdy w sercu człowieka i jest niejako jego częścią składową; jeśli w starości człowiek wyrzeka się miłości, odsuwa od siebie myśl o niej, to tylko dlatego, że czuje, iż prawdopodobnie nie byłby kochanym wzajemnie. Poeta ironicznie śmieje się ze sprzecznych z tem jego zdaniem wyznań, uważając je za hypokryzją:

Horacy, stary mój Lafontaine'ie,
Wyście mówili: Przychodzi dzień,
Gdy każde serca słabszem jest drgnienie,
Gdy, jak głos piosenki przez oddalenie,
Miłość zanika, zachodzi w cień:

O wieszczę, miłość śmieje się w duszy,
Kiedy mówicie: „Przeminał szal,
Caliśmy we łzach, czas wszystko kruszy,
W serc naszych zimnych kryje się głuszy
Podagryk biedny, Amor bez strzał.“

Człek wiecznie kocha, moi chłopacy;
Serc się nigdy nie zmienia w głaz!
Tak, stary Janie, tak, mój Horacy,
To, co przemija, jak ogień racy,
To ów, gdy jest się kochanym, czas: 1)

Miłość jest celem sama w sobie; miłość to ów najwęższy, najpodnioslejszy stan duszy i serca, do jakiego człowiek za życia dojść może; miłość to ideał, którego przeczenie i pożądanie Bóg, stwarzając człowieka, już w duszę dziecka kładzie. „Czy wiesz, co Bóg mówi do dziecka, które się rodzi? Gdy marna ta istotka po raz pierwszy spojrzeniem jasność świata naszego spotyka, Bóg mówi jej: Idź cierpieć, myśleć, poznać; duszo, strać swą niewinność, lecz przynieś z powrotem miłość!“ 2) „Tak, to jest ta najwyższa tajemni-

ca“ — kończy poeta; — „cokolwiekbyśmy zrobili, niema nic takiego, czego-by nie można zganić; wszystko jest przepelnione błędami — ale dość jest kochać. Po tej ciężkiej, długiej, posępnej, niebezpiecznej podróży, niebo, z któregośmy wyszli, otworzy nam swe wrota, lecz, wyszedłszy z niego, samotnie, trzeba powrócić we dwoje.“ 1)

A jednak znalazł się i w tej, czysto indywidualnym uczuciom poświęconej księdze, wypadek, w którym miłość na drugi plan ustępuje, w którym owi dwoje przestają myśleć wyłącznie o sobie nawzajem, aby wprowadzić do serc i umysłów swych coś, co jest poza nimi dwojgiem, a co droższem im nawet od tej ich miłości być winno. Niechaj mówi sam poeta:

—Cóż to znów za myśl nowa, piękna kapryśnico,
Bym w chwili, gdy wśród liści złote plamy świecą,
Gdy miękka trawa wabi w chłodne lasu cienie,
Mówił ci o Esslingu, Eylau albo Jenie?

Mówmy o swej miłości, rzućmy boje krwawe.
Tak, pradziadowie nasi z wojen brali sławę,
Mój ojciec był też jednym z olbrzymów drużyny;
Lecz i dziś, gdy czas przyjdzie myśl zamienić
[w czynu,

Za bary wziąć się z burzą po dniach błogiej ciszy,
Ci wielcy godnych wśród nas znajdują towarzyszy;
Walczyć będziem, jak oni, choć z rozpaczą
[w duszy,

Z równem sercem, choć z siłą nie tą już, co kru-

[szy, —
Świat usłysz, jak róg nasz bojowy podzwieka.
Lecz dziś ty mnie, ja ciebie — kochamy. Jutrenka
Przepelnia światłem pola, niebo, serca nasze;
Śmiały się z Horacego wróbelki-judasze,
Gdy siedząc przy Barynie wzruszonej, różowej,
Wiódł długie o czem innym zupełnie rozmowy.
Mam-że zdziwić te błonia, lasy pełne szumu,
Widokiem człeka, co ma mniej, niż ptak rozumu?
Kochajmy. Maj to jasnych, słodkich uczuć pora.
Dla Klebera, Ajaxa, Marceau lub Hektora
Niema miejsca wśród pól tych ciszy i słodyczy,
Gdy wiosna w głębi lasów budzi chór słowiczy;
Bo Homer może tylko strwożyć Teokryta;
Moschus boi się epepei miecza i dziryta;
Przed leknonogim boskim Achillem w zawody
Pierzchają płasające w gajach chorowody. —

Ona rzekła mi na to w róz kwitnienia porze:

—Druhu, nie myśl, że słucham tych słów twoich

[może;
Nie gniewam się na ciebie; wien, tak w tajemnicy
Mówi się do kochanki swej i... niewolnicy.
Tak, jutrenka przystraja bór w świeże uśmiechy,
Wonny kwiecień nadbiega z lir słodkimi echy:
Ptaków, którym nie ciąży nic, brzmi pieśń ra-
[dosna;

Tak, jeśli co nam serca przepelnia, to wiosna,
To idylla, Astrea, to Flora i Maja.
To raj ziemski... To również smutek, co upaja,
Niech wszystkie kwiaty kwitną i pachną mnie
[gwoli,

Ja marzę o dzwonnicy Strasbourga w niewoli
I widzę, przez eklogę cudną tu przedemną
W dali na widnokregu jej wieżycę ciemną.
Ach mów mi, mów o wojnie! Gdzież dumne wy-
[zwania?

Myśl o dziadach mnie myślą o synach podzwania.
By rodzić bohaterów — pięknie być kobieta;
Odbierzmy niebu wielką duszę już odżyta;
Zawrzyjmy wielki hymen! Kocham cię, wiesz o tem;
Lecz pod posępnym, drzącym tych dębów na-
[miotem

Nie miłość, lecz gniew święty owłada mą duszę;
Nie zna wstydu, kto hańby przynosi katusze;
Kraj mój... to jedno twarz mą ogniami spopiela!
Bierz mnie — lecz niechaj uścisk twój stworzy mści-
[ciela! 2)

Miłość dla pojedynczego osobnika ustąpić musi wobec uczucia szerszego dla kraju, społeczeństwa, ludzkości, a znaczącem jest, że poeta pierwsze przypomnienie tego obowiązku wkłada w usta kobiety.

1) Ks. VI, 25, tom II, str. 163.
2) Ks. VI, 5, tom II, str. 91.

1) Ibidem.
2) Ks. VI, 23, tom II, str. 155.

IX.

„Posłuchaj, echo, powiada poeta, — jak myślisz, możebyśmy do spółki jaką piosnkę stworzyli? I z pod pióra jego wypływa coś w rodzaju ballady o „Białej Amincie,“ która, dostawszy się do harem starygo beja, wzbudziła wielką zazdrość między poprzedniami jego mieszkankami, tak, że:

Longtemps le serail infidèle
D'elle
Parla, puis de ses cheveux blonds
Longs,
Les blanches qu'à Chypre on rencontre
Contre.
Et les noires de Visapour
Pour.

Poeta, istotnie, jakgdyby pisał tylko pierwszy i trzeci wiersz każdej strofki, a drugi i czwarty jakby dopowiadało echo, powtarzające brzmienie ostatnich sylab wiersza poprzedniego. Dzieje się to przez strof 12— a owe powtarzane przez echo brzmienia, muszą mieć przecież sens, stanowić potrzebne w opowiadaniu słowa i wiązać się odpowiednio w całość, która w danym razie stanowi rzeczywistość, pozbawiony głębszej myśli, ale dość plastyczny i barwny obrazek. — Tak wygląda pierwszy ustęp w VII-iej księdze „Całej Liry,“ a charakteryzuje on poniekąd całą jej zawartość, której głównymi i wybitnymi cechami są wybujałość fantazyi, oraz przerażająca poprostu wirtuozya formy.

Co do treści księga ta zawiera łatwo rozpoznać się dające z kolorytu i stylu, a nawet z dat pod większością utworów poumieszczanych, remanenta z epok tworzenia „Od i ballad,“ „Legendy wieków“ i „Pieśni ulic i lasów.“ Ustępy, będące odbiciem i uzupełnieniem działu drugiego („Ballad“) pierwszego z tych cyklów, nie są, podobnie jak tamte, balladami w istotnym słowa znaczeniu; sam Hugo, zresztą, nie kładł na imię to zbytnej wagi. Są to raczej obrazki fantastyczne, pojedyncze sceny, fantasmagorye ducha odpoczywającego i raczej formą bawiącego się, niż treścią.

Najobfitym spadkiem obdarzyły tę księgę „Całej Liry“ „Pieśni ulic i lasów.“ One to bowiem muszą, przedewszystkiem przyznać się do blizkiego pokrewieństwa z całym cyklem pieśni miłosnych, które w „Całej Lirze“ do poprzedniej raczej, aniżeli do tej, kwalifikowały się księgi, oraz lekko satyrycznych. Wiąże je z tą nową wiązką „piosenek“ tożsamo stanowisko pośród innych utworów W. Hugo i tenże sam los, jakiego po ukazaniu się w druku doznały. I jedne i drugie były owocem chwil wypoczynku, chwil, gdy poeta w sielankowym zaciszu nabierał oddechu do nowych zawrotnych lotów przez dzieje, podania i przestrojenie; i jedne i drugie, jako pełne profilów i sylwetek dziewczęcych, obudziły w pewnych kołach, gdzie przesadna a powierzchowna tylko pruderya jest normą wszystkiego, zajadle rozjątrzenie.

Nie w tak bezpośrednim i oczywistym, ale — oile się kto dobrze czyta — w niezaprzeczonem wewnętrznym związku z „Pieśniami ulic i lasów“ znajdują się też wybornie dyalogowane satyryczne „Komedye nie do grania.“ Tak świetnych i tak głęboko psychologicznych mimo ulotnej formy, obrazków, jak „Cocarde i Louchon,“ „W ogrodzie luxemburskim“ i „Insynuacya,“ dawno nie zdarzyło nam się czytać. Poeta dowiódł w nich raz jeszcze, jak ongi w „Pieśniach ulic i lasów,“ że, zstąpiwszy z zawrotnych wyżyn, umie obracać się i wśród pospolitego życia codziennego, wyszukiwać w niem piękne, godne poezyi stro-

ny, a na małe ułomności i podłostki używać zamiast zbytecznych w tych razach, a gdzieindziej potrzebnych gromów juwenalowskich, lekkiego, lecz bolącego i — jak bolącego! — biczyka sarkaemu. Jak Hugo zręcznie tą władą bronią niech świadczy jeden z dwóch nienależących do działu tych „komedyi,“ lecz związanych z niemi jednością nastroju satyrycznego ustępów: „Do szczura“ i „Złe języki.“

Złe języki.

Gołąb' się kocha w gołębicy!
Okropny skandal ten przynębia
Krzak głogu wiosną białolicy.
Gołąbka kochać śmie gołębia!
Wiesć się rozszerza wnet w grabinie
Bracia i siostry ich wydają.
Bywa tak w świecie, że w rodzinie
Pomiędzy wrogów żyjesz zgrają,
Co kameraży, szpiegowst, plotek!
*Nie ludzi tak nie rozgorzycza,
Nie gorszy starych tak dewotek,
Jak szczęścia cicha pieśń słowicza.*
Więc — wściekłość z racyi tej eklogi!
Skrzydlaty sejm w tysiączne głosy
Obmawia, wkłada w swe dyalogi
Możliwe kolce, grotty, ciosy.
Modra sikora i pstra ara
Rzucają różne „bo,“ „lecz,“ „zasię,“
Śmiesznymi gesty pliszka stara
Wkrąg cudzysłowy sieje, zda się.
„Wiem o tym leniu to i owol!“ —
Rzekł kruk z tych sędziów co cnótstrzegą —
„Znam jego praczkę przypadkowo.“
„A ja znam jego odźwiernego.“
— „Ona też widać niezbyt sroga!“
— „Czyż to przynajmniej mąż i żona?“
— „No, no, nagroda cnót, na Boga,
Gołąbkom tym nie przeznaczona!“
„Błudniarczy związek!“ — mówi sójka.
„Ca ira!“ zięba dziób rozdziera.
Czczołka: „Kocha się ta dwojka!“
Sroka dodaje: „Et caetera!“
„Co wieczór, kiedy zmrok zapada,
On nawołując do niej zmierza,“ —
Czyta w raporcie cała rada,
Złożonym jej przez nietoperza.
Sejm ptasi grzmi groźnymi słowy,
Przekleństwo rzuca, bill uchwala.
*Taki to świat jest. Sąd surowy
To często plotek nędznych fala.*
O, strzeż się, Rózo, biedne dziecię,
Gadania tych zajadłych wrzenia.
Miłość, o której głośno w świecie,
To krzak różany bez korzenia.
Pomyśl, o piękna ma, co znaczy
Opowieść ta i co zawiera.
Pomnij: to tylko baśń, inaczej
Mówiąc, to prawda święta, szczerza.

Parę słów jeszcze, streszczających pojęcie, jakie, chciałbym, aby niniejsza praca wytworzyła w umysłach czytelników o wielkim wieszcu francuzkim. „Zbyt wielkie zmateryalizowanie jest nieszczęściem naszej epoki. Ztąd pewne ocieżenia i znikczemniałość. Trzeba rzucić blask ideału w głębie dusz ludzkich. Lecz gdzież ideału szukać? tam, gdzie on istnieje. Poeci, filozofowie, myśliciele są jego naczyniami. Ideał istnieje w Ajschylosie, w Izajaszu, w Juwenalu, w Alighierim, w Shakespearze. Rzućcie Ajschylosa, rzućcie Izajasza, rzućcie Juwenala, rzućcie Danta, rzućcie Shakespear'a w głębie duszy rodu ludzkiego... W ten sposób wyleczycie chorobę chwilową i zapewnicie nazawsze zdro-

wie duchowi ludzkiemu. W ten sposób z filiste-ry mieszczańskiej stworzycie ludy.“ Tak mówi Hugo w tyle razy już przez nas cytowanej książce o „Shakespearze.“¹⁾ Dodajmy do szeregu imion tych wielkich urn, z których wybłyska światłość ideału, jeszcze imię tego wielkiego bojownika prawdy, piękna, dobra i wszystkich najpodnioślejszych celów i dążeń ludzkości, którego twórczości przypatrywaliśmy się przed chwilą; rzucajmy w posępne głębie pustych, pospolitych, frazesami zdawkowemi zapchanych dusz ludzkich, blaski wielkiego słońca poezyi tego pogromcy mroków, nędz moralnych i znikczemnień, którego pragnieniem było, aby w chwilach takich zaćmień i zmałeń, mógł gromowami rozłuki dalekiego głosu budzić śpiących i jak widziadło straszliwe zjawiać się skarłałym duszom. „Wtedy ludzie, pomimo roztargnień i zabiegów powszednich, poznaliby może ten cień, od którego smutek olbrzymi rozlewałby się na cały firmament, i przypomnieli sobie to wieczyste sumienie o lwich porykach.“²⁾ I może choć parę piersi nie poddałoby się pod miarę krawca, może choć garść duchów rzuciłaby się w jego ślady po tej ciężkiej i ciernistej drodze, która wiedzie ku ideałowi... Czytajmy Wiktora Hugo!

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż na Członków Rzeczywistych Towarzystwa zapisali się: pastor Juliusz Bursche, dr Adolf Trachtenber, dr Remigiusz Laskowski, dr. Bronisław Gutowski, Wit Zarzycki, Samuel Mantinband, Dyonizy Grosman, Józef Regelman, Ludwik Regelman, Andrzej Rogowski, Władysław Roztropowicz, Herman Konstadt, Jan Nawrocki, Stanisław Rachalewski, Wiktoryn Grabowski, Witold Trepka, Joachim-Dawid Potok, Jan Rutkowski, Leon Sułocki, Franciszek Chrzanowski, Lucyan Chrzanowski, Józef Chrzanowski, Wincenty Wodziński, Władysław Lipiński, Adolf Iwańczyk, Mikołaj Strohm, Leopold Czamański, Maksymilian Cohn, August Brech, Jan Braun, Jakób Holtz, Antoni Olszakowski, Aleksander Jurgielewicz, Ulanowski, Gustaw Peretz, Franciszek Niedźwiedzki, Leon Bojańczyk, Aleksander Partowicz, Michał Kochanowicz, Ignacy Kochanowicz, Bolesław Morski.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ma honor pownownie prosić pp. artystów, aby dzieła swoje, wycofane z Wystawy Towarzystwa i nieobciążone pożyczkami z funduszu pomocniczego, raczyli odebrać jak najspieszniej, gdyż dzieła te, zwłaszcza obrazy, pozostając przez dłuższy czas na składzie, mogą uleść uszkodzeniom, a nawet zniszczeniu.

Komitet nie może przyjmować odpowiedzialności za całość dzieł, pozostawianych na składach w Towarzystwie na czas nieograniczony.

1) „William Shakespear,“ ed. jak wyżej, str. 262.

2) „Struna Śpiżowa,“ 15, tom II, str. 337.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Rok skończony, przez Maryą Ilnicką. — Szwab, (dokończenie), Szkic do powieści, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Z pamiętnika nieszczęśliwej kobiety. (dokończenie). — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Ze spuścizny olbrzyma, (dokończenie), przez Miriam'a:

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie** przez Florentynę Marryat. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycyą stołu



18 37 6

E.